

Antropologia kultury, historia i Kubuś Puchatek

Ludwik Stomma

„ — Proszę państwa, oto miś. Miś jest bardzo grzeczny dziś.” W roku 1967 obroniona została na Uniwersytecie Wrocławskim praca magisterska pod tytułem: *Analiza kultu niedźwiedzia w świetle wierzeń i obrzędów w Polsce z uwzględnieniem genezy tego kultu u ludów totemicznych*. Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu był znacznie skromniejszy i zadowolili się *Niedźwiedziem w wierzeniach i obrzędach ludu polskiego na tle wierzeń i zwyczajów w środkowej Europie* (1967). Później w pracach psychoanalityków ze szkoły Lacana czytać mogliśmy wielokrotnie o „kompleksie niedźwiedzia”, wrodzonym pociągu dziecka do niedźwiedziej miękkości etc. Miś naszych dziecinnych doznań wtargnął w naukowe horyzonty i zuniwersalizował się — chytne zwierzę.

Tymczasem rzecz jest akurat prosta i udokumentowana. Pewnego dnia 1902 roku, prezydent Teodor Roosevelt, który był zapalonym myśliwym odmówił strzelania do młodego niedźwiadka. Scena stała się legendarna i już w parę tygodni później zalały rynek amerykański małe, pluszowe niedźwiadki zwane do dzisiaj w Stanach Zjednoczonych „Teddy bear”. Nowa maskotka dość szybko przeniosła się do Europy, co szczególnie jest zasługą armii amerykańskiej interweniującej pod koniec I wojny światowej. Ostateczny triumf zapewnił misiowi w latach dwudziestych Alan Alexander Milne swoim *Winnie-the-Pooh*, czyli, jak genialnie przetłumaczyła poetycko Irena Tuwimowa — Puchatkiem (w samych latach 1926—1936 dziewiętnaście masowych wydań anglojęzycznych).

Musimy spojrzeć prawdzie w oczy: przed rokiem 1902 był miś pluszowy istotą nieznaną i nie bawiły się nim dzieci. Jakże mało trzeba było czasu, by przypadek przemienić w zasadę, nabyte — we wrodzone i jeszcze znaleźć genezę tego wszystkiego u „ludów totemicznych”, którego to pojęcia mimo najlepszej woli rozszyfrować nie jestem w stanie. Jedno jest pewne: bez Misia Puchatka nie byłoby majaczeń o kulturach niedźwiedzia w średnim paleolicie.

Przykład to prostacki wręcz, jak rudymmentarna zgola egzegeza historyczna unieważnić może synchroniczne sofizmaty.

Lecz nieprawdą jest, że ze szczeniem zapomnieli etnologowie o historii. Przykładem historycznych ciągów, czy może imperatywów, są jakże częste odwołania etymologiczne — szukanie odległych znaczeń słów, które rozszerzałyby pole semiotyczne pojęć i symboli. Ale dla czego tylko słów? — Czyżby podświadomy strukturalizm? Czemu nie sięgnąć po dzieje przedmiotów, struktur społecznych, idiomów; dzieje najzupełniej materialne i fizyczne?

„Życie”. W marksistowskiej i jakże już przy literze „Ż” cenzurowanej *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN* mamy pod hasłem „życie” aspekta filozoficzne, teologiczne i genetyczne wreszcie. — Gdzie miejsce dla aspektu socjo-fizycznego? Tymczasem średnia długość życia ludzkiego (bez uwzględnienia śmiertelności niemowląt) wynosiła w V w. ok. 27 lat, w XV w. 33 lata, w 1850 — 36,4 lat; w 1900 — 48,9; w 1950 — 66,2. Krzywa długowieczności we Francji przy wszystkich zrozumiałych wahaniach (rewolucja, wojny

napoleońskie) pokrywa się z normą ogólnoeuropejską. Powolny, ach, jakże powolny postęp przez wieki i nagły boom około 1880 roku. W ciągu dwóch tysiącleci przybyło nam nadziei na trwanie lat osiem wszystkiego, i nagle w przeciagu jednego, głupiego wieku lat czterdzieści prawie (Francja 1985: 77,45 lat). Czyż nie jest to rewolucja społeczna i pojęciowa?

Mając perspektywę średnio trzydziestoletniego życia nie ma się czasu na dzieciństwo. „W wieku ośmiu lat — pisze Van Den Berg — Goethe pisał po niemiecku, francusku, grecku i łacinie; mimochodem nauczył się włoskiego, którego ojciec uczył jego siedmioletnią siostrę. Czteroletni „Turnvater” Jahn umiał pisać i czytać. Przyszły ojciec Józef, będąc w tym samym wieku, wdrapywał się na stół i recytował przed gośćmi ojca dramat Golgoty. „Vauban holenderski”, Menno van Coehoorn, miał szesnaście lat, kiedy jako komendant kompanii piechoty wysłany został z wojskiem z Fryzji do garnizonu w Maastricht. I tak dalej — nieprzerwany ciąg dzieci przedwcześnie dojrzałych (jak to dziś nazywamy), przed którymi stawiano dorosłe obowiązki i które najwyraźniej doskonale wywiązywały się ze swoich zadań. Dotyczy to zresztą również dziewcząt: jeśli zdecydowano się dać im wykształcenie, nauka zaczynała się z chwilą, gdy ukończyły dwa lub trzy lata. Niektóre w wieku pięciu lat miały już za sobą lekturę całej Biblii, a skoro w tym wieku czytały Księgę Świętą, to czemuż by nie dać im od czasu do czasu historyjki z *Dekameronu* (mimo dezaprobaty Montaigne’a).” — Van Den Berg opowiada o wieku XVIII. Cóż mówić o czasach wcześniejszych.

Przypomnijmy słynny dramat na zamku w Chinon 6 marca 1429, kiedy to rozpozna Joanna d’Arc przebranego Delfina. Któż gra w nim główne role? — Kto decyduje o losach Francji? — Karol VII lat 26, Joanna — lat 17, marszałek Gilles de Rais — 25, książę Jan d’Alençon — 19 i jego siostra Charlotte — 16, kanonik Thomas Basin — 17... A przecież, nikogo to nie dziwi.

W bitwie pod Maupertuis (19 IX 1356) wyróżni się szczególnie czternastoletni syn Jana II Dobrego — Filip, książę Burgundii. Nie ma w jego wieku niczego wyjątkowego. Pasowanie na rycerza w wieku czternastu-piętnastu lat było w XIV/XV w. rzeczą zupełnie normalną, przydarzało się zaś również i dwunastolatkom. Jakby to nie raniło czułych naszych serc, uznać musimy, że tak pod Azincourt, jak i na przykład pod Grunwaldem, starły się ze sobą armie złożone w pokażnej części z nastolatków.

Jeszcze książę Piotr Aleksiejewicz Kropotkin (urodzony 1842) skarży się we *Wspomnieniach*, że nie miał w dzieciństwie zabawek. Nie tylko on. Przechadzając się po muzeach oglądamy stroje minionych. Serie takich samych odziei w całym bogactwie wymiarów: dla trzylatka, dwudziestolatka, jak i dla pięćdziesięcioletniego starca. Dziecko jest tu miniaturowym dorosłym. Nic dziwnego, że nie ma specyficznie mu należnych przedmiotów. Wystarczy wyposażenie dorosłych w zmniejszonej ewentualnie skali.

Lecz oto koniec XIX w. Życie zaczyna się wydłużać tak namacalnie, że rodzi się też wiara w procesy tego trwałości.

Mamy czas i będziemy go mieć coraz więcej. Szerokość widma zaczyna być wystarczająca, by dzielić je i klasyfikować. I tak rodzi się dzieciństwo. „Dziecko nie zawsze było dzieckiem — stało się nim” pisze Van Den Berg. Dodajmy, że „stało się nim” w stosunkowo krótkim i łatwym do chronologizacji okresie.

Cóż to jednak znaczy: „klasyfikować”? Znaczy: zbudować opozycję. Dziecko dotąd nie różniące się od dorosłego, musi zacząć się różnić od niego i to różnić się radykalnie. Rozpoczyna się więc teatralizacja dzieciństwa. Odmienny strój, odmienny świat obiektów (zabawki). W 1860 nie było w Paryżu ani jednego sklepu z zabawkami dla dzieci. W 1900 jest ich już 26. Ale nie to może najbardziej szokuje. Jean de Grève, przedstawiciel starszawego już w 1990 roku pokolenia, gorszy się w *Dzienniku*, iż nie dość, że współczesne matki opowiadają lub czytają progeniturze teksty najwyższego infantylizmu, to ogłupiają je jeszcze dodatkowo przekształceniami słów i polykaniem lub zmiękczaniem zgłosek. Ależ tak. Do lat około 1850-tych mówiono do dzieci językiem normalnym, codziennym, niczym do partnera. — Cy dziżiuś ce zrobić kupkę? — Dlaczego języcek wysuwa? — A może woli mlecka cacany... — są to zdobycze ostatnich stukilkudziesięciu lat.

Na przełomie XIX i XX wieku upowszechniły się we Francji — pisze Michel Wlassikoff — konkursy na najpiękniejsze dziecko, które towarzyszyły wszystkim ważniejszym targom i jubileuszom. „Konkursy te miały pretensje naukowe. Dzieci były podczas nich ważone, mierzone i szczegółowo badane przez wyspecjalizowanych lekarzy. Wygrać ma dziecko doskonale pod każdym względem — dziecko uosobienie zdrowego dzieciństwa. Patrząc na zdjęcia widzimy cały program ideowy tych imprez: nagie dziecko na odkrytym draperiami stole i zakutane po szyję jury dorosłych.” Nagość oznaczać ma tu niewinność i bezbronność. Czy nie jest jednak tak naprawdę projekcją tylko obsesji rodziców?

Opozycja raz stworzona, zaakceptowana i wdrożona społecznie przynosi nieubłagane skutki. „Dzisiejsi pionierzy nauki — oddajmy raz jeszcze głos Van Den Bergowi — nie ujawnili w młodych latach znamion późniejszego geniuszu, przeciwnie, są oni raczej przykładem dojrzałości opóźnionej. A co do naszych własnych dzieci, to dziecko powtarzające pierwszą klasę, ponieważ intelektualnie nie osiągnęło jeszcze wieku szkolnego, jest w mniejszym stopniu przedmiotem rodzicielskiej troski niż dziecko, które przerasta swoich rówieśników i siedzi zagrzebane w książkach, w czasie, kiedy tamci kąpią się, biją lub dokuczają dorosłym.” I nie dziwnego — to dziecko zacytane zaciera wszelkie wyrazy klasyfikacyjnej opozycji bachory: dorośli, wchodzi w niebezpieczny teren tego, co strukturaliści nazywają „mediacją”, czyli pojęciowego obojactwa.

Moda odzieżowa dla dzieci. Wykreślona równie arbitralnie, jak ta dla dorosłych, tym się jednak oznacza, że nigdy nie jest taka sama. Gdy dla dorosłych zalecane są kolory jaskrawe, dziecko odnajdziemy popielate; kiedy dorośli nosić się mają obcisłe, dzieciom na pewno poleci się luźne i swobodne...

Bajka. Jeszcze bracia Grimm, a nawet Andersen nic nie pojęli. Ich bajki ociekają prawdą. Jest w nich miejsce dla cierpienia, zdrady, sprzeniewierzenia... Złudzenie, że wystarczy przenieść w odrealnione, by zaspokoić zasadę opozycji. Dopiero Disney zrozumiał. Przemoc jest u niego przyróżeniem oka — pies Pluto się spłaszca, ale zaraz otrząsa i łypie lewym okiem; świnki trzy triumfują nad wilkiem... Nie wystarczy dzieci odróżnić. Trzeba im stworzyć „ich świat”. Ach ten świat dziecięcy, czy też „naszego dzieciństwa”. Któż by ośmielił się go wyrzec?

Lecz jakże ubogi w istocie i prymitywny to świat. Przypisu-

je się dzieciom poetykę naiwności, nieskrępowanie wyobraźni. Cienia tego nawet nie znajdziemy w największym ponoć w Europie sklepie z zabawkami przy bulwarze Sewastopolu w Paryżu. Pełny asortyment uzbrojenia, tyle że w rzeczywistości przeciwnika nie rażący; miliony samochodzików (nie-raz wysoce elektronicznie skomplikowanych), służących nie do transportu; klocki „Lego” i im podobne, z których skonstruować można niemieszkalne budowle... Prosty zabieg odebrania funkcji przenosić ma obiekt ze świata dorosłych w dzieciństwo. Zamiast „nieskrępowanej wyobraźni” prosta opozycja funkcjonalne : dysfunkcyjne. Zaiste, sklep z zabawkami nic nam nie mówi o dzieciach (o ile takowe istnieją); wspaniałym jest za to miejscem obserwacji obsesji, marzeń i trwóg dorosłych naszych społeczeństw. Średniowiecze dawało maluchom miecze proporcjonalne do możliwości fizycznych, metalowe wszakże i prawdziwie ostre. Wiek XX proponuje gumowe i plastikowe miecze na niby. „Ja ustałój staryj kłown, ja bodu miecziom kartonnym” — śpiewał Wertyński w *Żółtym Aniele*. Kłownem, pajacem jest posługujący się nefunkcjonalnym. Dodatkowa to rola społeczna sprowadzonych do roli milusińskich. Ich śmieszność gwarantuje naszą powagę.

Przed rokiem 1902 nie było pluszowych misiów — mówi historyk. Jeszcze w XVIII wieku nie było dzieci — mówi historyk. Szampan wynaleziony został dopiero za czasów Ludwika XV, przedtem nie było szampana — mówi historyk... A bajeczna historia kartofli?... — I ja, stary strukturalista, widzę nagle cały błąd mojej wiary. O, nie polega ona nawet na „powoływaniu bytów”, czy sprowadzaniu wszystkiego do formuły dziesięciu zaklęć, o co oskarżano nas najęściej. Chodzi o pychę „synchronii”, która tak naprawdę uniwersalny miała mieć wymiar. Ileż w „synchronicznych” naszych analizach odwołań do Rzymian, Greków, średniowiecza, symboliki, skąd by ona nie była... Bo przecież nasze „Tablice Mendelejewa” — góra : dół, jasność : ciemność, dzieciństwo : wiek dojrzały, miały być ponadczasowym do prawdy wytrychem. A tu, ot, nie ma dzieciństwa. I nie pomoże Lévi-Straussa wykret o „ludach bez historii”. Kajmany dopiero pod koniec XVIII wieku pojawiły się w Orinoko. Już to wystarczy: jest historia.

Nie znaczy to, by wycofać się miała etnologia z podstawowej swojej tezy relatywizmu kulturowego. Wręcz przeciwnie: winna mocniej akcentować jego podwójny — poziomy i pionowy wymiar.

Jest we Francji gra w „tomate” (pomidor), mająca dokładny odpowiednik w polskim „pomidorze”, a wzmiankowana już w XVIII wieku. Opowiada się komuś śmieszne rzeczy, a on ma z powagą odpowiadać: tomate. Jak będzie tak rozśmieszony, że nie zdoła warzywa wymówić — przegrał. Pomidory sprowadził do Francji Franciszek I. Co przedtem śmieszyło gawiedź? A może gry nie było? W każdym razie trzy przynajmniej wieki głupawego powtarzania „tomate”, to ciągłość imponująca. Ma ona jednak swój początek i w każdej chwili może mieć i koniec. Ot, zadekretuje geniusz społeczny, że zabawniejsza jest „kapusta”. Tak, o tym właśnie zapominała jakby etnologia, że kulturę w znacznej mierze się dekretuje. Dowodem dziecko. A kto by jeszcze nie wierzył, niech przyjedzie na pokazy mody do Paryża. Mody na przyszły (sic!) sezon.

Etnologia jest nauką porównawczą. Stąd jej immanentne zainteresowanie egzotyką zamorską lub społeczną. Zadaniem etnologa jest przecież zdawienie się. Nic zaś nie jest dziwne samo w sobie, lecz zawsze w stosunku do czegoś. Etnologia współczesności samą już nazwą akcentuje swój nieuchronny punkt odniesienia. Gdy zasadą jest „teraz”, w sposób naturalny porównaniem staje się „kiedy indziej”. Wtedy zaś jadąc w teren pukamy do drzwi historyka.